W młodych oczach

CZASOPISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ



Nr 4. WARSZAWA Rok 1.

WYD. ORGANIZACJA PRACY OBYWATELSKIEJ MŁODZIEŻY STRAŻ PRZEDNIA

HENRYK NOWAK

Z CYKLU:

SAMOTNIK BELWEDERSKI

Serce — to jedyny we mnie ciężar;
ciepłą krwią nabiegły — jak motor dygocze
i w każdą noc samotną — obieg krwi natęża
i państwo widzi mocne w widzeniu proroczym.
Znają mnie jedni z bojów i defilad,
ty mnie znasz samotności z moich trosk o naród,
ty wiesz jak rodzą się we mnie jasnych błysków chwile
i kiedy tętni serce radosną fanfarą.
Serce i samotność jesienią dojrzałą przysiadły
i mówią do duszy skąpanej w migocie...
...belwederski park — cichy, nieodgadły,
opadłymi liśćmi znane ścieżki złoci...

* * *

W tej ciszy w widnokrąg wydętej
stoję i patrzę — chcąc przebić oczyma niebo;
w walce o Dobro Polski, w walce bezwzględnej, na-
miętnej,
tak mi patrzeć trzeba.
Jak iść? — Czy chleb tłumom rozdawać
i cyrkiem ich bawić,
czy twardo strzec prawa?...
— Cisza jest duża w widnokrąg wydęta,
jak serce rozumne, które rozum spętał...

— — — — — — — —

Słońce jest wielkie i krwawe,
jak każda sława...

* * *

Dzień przeszedł spracowany —
noc myśląca nadchodzi,
dzban mądrości, jak wino przed sobą dźwiga;
— do ust niesie mi dzbanek,
noc najmilszy czarodziej.
Poprzez wszystkie sztachety,
schody, światła i ludzi,
tu się wdarła samotna i cicha.

— — — — — — —

— Mądrość człowiek — niestety —
nie z dzbana pije, a z kielicha...

w młodych oczach
czasopismo młodzieży szkolnej
Wyd. przez Organizację Pracy Obywatelskiej Młodzieży
STRAŻ PRZEDNIA
Nr. 4 Warszawa, 15 grudnia 1937 r. Rok I.

Wszystkim naszym Prenumeratorom, Czytelnikom i Przyjaciołom przesyłamy serdeczne życzenia »Wesołych Świąt«!

Redakcja

DWA MUNDURY

„Nie noszą lampasów, lecz szary ich strój"... niepokaźne, ćwiczebne drelichy, nazwę mają też zwykłą, skromną, rzeczową, skróconą do dwóch małych liter: p. w. Wojskiem są właściwie raz w tygodniu i w lecie, ale mimo to jeden ich hufiec więcej jest wart niż wszystkie hasła dla młodzieży, razem wziąwszy. Od kilkunastu lat stoimy wobec kapitalnego zagadnienia: jaką rolę wobec młodzieży, szkoły i armii spełniają szkolne hufce p. w.? Ile miejsca w wychowaniu nowego pokolenia zajmuje mundur i karabin?

Wokół sprawy tej, jak przystało na zagadnienie dotyczące bezpośrednio armii, panuje u nas cisza i spokój. Trzeba to podkreślić jako rzecz „w stosunkach" między młodzieżą a społeczeństwem zupełnie wyjątkową. O ile w każdej innej dziedzinie „młodzieżowej" byle odruch, byle grupka budzi natychmiast wrzawę dziennikarską, pełną skrajnych uniesień i skrajnych potępień, to cały ten rozgardiasz prasowy i społeczny milknie wobec drelichu i karabinu ćwiczebnego. Znaczy to, że w całym dorosłym społeczeństwie ten jedyny wśród poglądów na wychowanie jest wspólny: Polak musi już za młodu zaprawiać się w sztuce wojennej. Nie ma w tym względzie żadnych różnic, ani innych zapatrywań nawet wśród t. zw. opozycji politycznej. W dziedzinie wychowania żołnierskiego młodzież spotyka się z opinią skonsolidowaną, z powszechną i gorącą aprobatą starszych. I nikt nie usiłuje wtrącić tu swych trzech groszy „ideologicznych", bić w bęben haseł, mimo, że skądinąd pragnąłby porwać nimi nawet dzieci w przedszkolach. Dlatego idea p. w. ukształtowało się w Polsce mocno i bezspornie i nie podlega już żadnym dyskusjom programowym. „Pewiak" zna bowiem tylko jedno hasło. To z którym pełni wartę. Żadne inne nie ma dla niego znaczenia, bo żadna „deklaracja" nie jest w stanie wyrazić prostej żołnierskiej wiary i obowiązku. Wadzić się o poglądy, jakie wszczepiać należy w młodzież, stawiającą pierwsze kroki w służbie żołnierskiej, byłoby takim samym nonsensem, byłoby tak

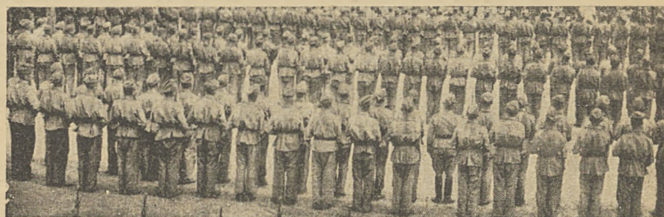
samo niedopuszczalne, jak — dyskutować nad ideologią wojska. Żołnierz polski ma już swój katechizm. Jest on napisany słowami najwyższej treści ideowej: nazwami pobojowisk, imionami bohaterów. Żadne przemiany dziejowe, żadna racja stanu czy nowy układ stosunków nie jest w stanie zmienić w tym katechiźmie ani słowa. Jest w nim bowiem zamknięta największa prawda o ojczyźnie, która zawsze w historii naszej górowała nad innymi, p r a w d a ż o ł n i e r s k a.

Mogły w okresie niewoli zaniknąć polskie tradycji gospodarcze, społeczne i polityczne — trzeba szukać dziś dla nich nowych idei i wzorów. Mogły zagubić się tradycje państwowe, ale nigdy nie zamarła wielka tradycja wojenna, myśl żołnierska Rzeczypospolitej. Młodzież p. w. a zatem wszystka nieomal młodzież szkół średnich, m a n a c z e l n e z a g a d n i e n i e s w e g o ż y c i a z b i o r o w e g o r o z w i ą z a n e na zawsze, bez wahań i dyskusji. Musi być na przyszłość stale w wojenny pogotowiu. Musi być gotowa technicznie i duchowo...

Ale sprawność techniczna i duch bojowy to nie jest to samo. Sprawność osiąga się przez proste, ustawiczne jej ćwiczenie. Mozół tych ćwiczeń i praca nad sobą w dużym już stopniu sprzyja tworzeniu się wewnętrznych wartości żołnierskich. Ale istotne ich źródło ma swe miejsce gdzie indziej. W dyspozycjach wewnętrznych, z jakimi wdziewa się co tydzień mundur p. w. i staje się w dwuszeregu na dziedzińcu szkolnym. Ta zmiana munduru jest, musi być zrzuceniem raz w tygodniu nie tylko granatowego munduru ale i... skóry szkolnej. Bo w granatowym mundurze, w tym drugim równie zaszczytnym uniformie młodzieńczej służby, tkwi niestety po dawnemu sztubacki duch dawnej, zapomnianej szkoły. Stosunek przeciętnego ucznia do szkoły polega wciąż jeszcze na — łagodnie mówiąc — wyrachowaniu. Ogół uczniowski ma w tradycjach, we krwi wprost nałóg dawania z siebie tyle, ile potrzeba na „trójkę", „czwórkę" czy „piątkę". Pęd samokształceniowy, honor munduru szkolnego, z tej właśnie „walki o kulturę" płynący — to dziś jeszcze ambicje dość rzadkie, a przynajmniej w szarej masie uczniowskiej zgoła niepopularne. I nikt na to nie może poradzić — tylko sama młodzież. Trzeba więc być cierpliwym. Może te tradycyjne nałogi znikać będą stopniowo, pokoleniami...



P. W. w natarciu. *Z zbiorów ref. pras. P. U. W. F. i P. W.*



Raport poranny. *Z zbiorów ref. pras. P. U. W. F. i P. W.*

Ale z przysposobieniem żołnierza c z e k a ć n i e w o l n o. W tej dziedzinie wszystkie nałogi szkolne trzeba w sobie wypalać gorącym żelazem. Bo „uczenie się" prawideł wojny nawet na „piątkę" to jeszcze grubo za mało. Bo w tym nowym „przedmiocie" nauki szkolnej o wiele za mało jest wiedzieć i umieć. Siła, którą musi mobilizować p. w., kryje się w uczuciu i woli. A tych wartości nie można „wykuć". Trzeba je samemu w sobie w y c h o w a ć. Zajęcia p. w. są lekcją nalepszego, najbardziej skutecznego wychowania. Wychowania, które przeobraża naszych młodych sąsiadów z każdym dniem w groźną potęgę militarną na przyszłość. Przyszłość ta będzie wkrótce teraźniejszością. Szkoła p. w., szkoła bezwzględnego posłuchu, sprawności i wysiłku jest i musi być coraz mocniej szkołą dynamizmu życiowego, w której komenda dowódcy nie — p o b u d z a do działania, w y z w a l a tylko napiętą wewnętrznie siłę i radosną gotowość. P. W. jest i musi być coraz mocniej szkołą samowychowania, w której duch bojowy rodzi się samorzutnie z radosnej wiary w fizyczną wartość siły zbrojnej i moralną wartość postawy żołnierskiej.

Dziś ten naród niesprawiedliwość popełnia, który bić się nie umie

Stanisław Staszic

F. Z. Weremiej (*Bielsk Podlaski)*

REFLEKS LISTOPADOWY

Warszawa stanęła pod bronią. Na głos pobudki podchorążackiej zbudziły się polskie serca, złote orły napoleońskich sztandarów ze snu się zbudziły, by lecieć na narodu czele, by zerwać łańcuchy u nóg, głosić światu powstanie z nad Wisły.

Solecką łunę dojrzano daleko — hen na kresach. Przez całą Polskę wzdłuż i wszerz przebiegł dreszcz wojny. Naród stawał pod bronią. Naród się burzył. Do szeregów powstańczych szedł rzemieślnik, student, chłop, robotnik. Każdy, kto mógł karabin wziąć w ręce i kto czuł w sobie polskie serce, tętniące entuzjazmem wojennego porywu.

Musiało nastąpić zwycięstwo. Wydawało się, że Karpaty runą na Moskwę, że Bałtyk zaleje najeźdźców, grożąc postrzępioną falą, tyle siły żywotnej było w tej zakrwawionej ziemi, morze buntu szalało w piersi narodu. N a r ó d w s t ą p i ł n a p i e d e s t a ł d o s t o j n o ś c i, b o b u n t j e s t d o s t o j n o ś c i ą w n i e w o l n i k u.

———

Z za Narwi i Bugu nadciągnęły moskiewskie roty. Diebitsch, Paskiewicz, Geismar, Kreutz, Rosen, Pahlen, Witt, Gołowin; konie, ludzie, działa, bagnety...

Stoczek, Wawer, Grochów, Białołęka, Liw, Mińsk, Kuszlewo, Dębe Wielkie, Iganie, Ostrołęka — nie wszystko...

Dym, ogień, krew, bohaterstwo, sztandary, armaty, ataki, bagnety, zabici, ranni — w o j n a !

———

7 września. Noc.

Depcząc po trupach wdarło się żołdactwo na okopy Warszawy. Bagnetami utorowali sobie drogę, bagnetami odrzucili z wałów ochotników i po piersiach poległych batalionów wjechał Paszkiewicz do stolicy. Zadzwoniły o flizy starego miasta podkowy kozackich koni, krzyk dziczy odbił się od murów Podwala; na urągowisko poetom, idealistom, bohaterom, rozbrzmiało echo ponure, głoszące wszechwładztwo pięści, wyższość brutalnej siły nad prawem.

———

Zrodziły się nowe nazwiska: Ordon, Sowiński. Wyrosły długie szeregi krzyżów cmentarnych, lśniących białością malowanego drzewa, wyrosły nowe szubienice.

Jedni poszli na sybirskie szlaki, drudzy na żołd kremlińskiego despoty. Stryczki — za miłość ziemi rodzinnej — za kupczenie honorem własnym, godnością swojego narodu — ordery carskie.

Krew żołnierska zmieszana z błotem znikła w ziemi, jakby przed ponurą zjawą nowych lat, może przed hańbą pokolenia...

———

Zmarnowano tę krew, poszła na nic.

Kto winien? Na kogo spadła hańba? Kto winien zbrodni i pogardy Europy?

Nie żołnierz, co poległ z rozpalonym karabinem w ręku. Nie wodzowie bezsilni, ubezwłasnowolnione lwy Korsykanina — Skrzyneccy, Chłopiccy, Prądzyńscy, Chrzanowscy, Radziwiłłowie... Nie lud, co do ostatniej chwili trzymał chorągiew buntu. Nie ci, którzy zamykali drzwi przed cieniem żołnierza, bo ich od kołyski uczono własną kuchnię i własne papuzie błyskotki stawiać ponad godność swej ojczyzny, ponad mękę ludu...

Wina leży głębiej — gdzieś u źródeł historii. Ona była przyczyną wszystkich nieszczęść, jakie kraj ten nawiedziły. Całej hańby, całej męki, wszystkich strat, wszystkich łez, wszystkiej krwi darmo wylanej.

Grzech pierworodny wszystkich naszych przewinień, wobec swojej ziemi, plemię polskie poniżył. Mógł poniżyć bardziej. Polak mógł się stać synonimem zmiętego niewolnika bez czci i honoru, płaszczącego się pod batogiem, gdyby krew wielkich hekatomb nas nie odkupiła.

Grzech ów pierworodny nie dawał nam przyjść do rozsądku, myśli i wysiłek zjednoczyć, gdy Polska stanęła w błyskawicach i piorunach, gdy gmach się walił.

Dzielić naród, rozdrabiać, rozsadzać.

Ta anarchia — krzyk serc jałowych, samolubnej, ślepej zgrai, to rodzona siostrzyca zagłady. Z drobiazgów się rodzi, burzy kolosy.

Ofiara 1830 roku to jeden z jej łupów posępnych.



Józef Sarota (Gdynia)

TĘSKNOTA ZA MORZEM.

Ziemia codzienna odpływa z czarnego lasku,
karty, które przeżyłem same ode mnie stronią,
mam dosyć tych pełzań po rozmokłym piasku;
Wiosłują srebrne ułamki życia do pękniętych dłoni.

Zamalować szare słowa na zieleń
sarkofagi muszel zaszytych sanskrytem —
pachną malowane kochaną dlonią akwarele.
Na jasnych wschodach fal układam palce kwitnące zachwytem

o słońce
kiedy smukłe niebo rozdzierasz palcem na połowy,
kosmiczne cyrkle zakreślają gwiazdami miesiące
wołam w aeropagi kamiennych fal:
„epur si muove".

Jerzy Przeździk

ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI.

Rozkrzyczało się miasto radością barw białoczerwonych
srebrnymi orłami dzień witać wybiegło —
wyprężyło się życie ze snu obudzone
zaśmiało się w słońce betonem i cegłą.

Zupełnie jak przed laty — za tamtej jesieni,
kiedy niezmierne szczęście niosło się wśród ulic —
wysypali się ludzie z milczących kamienic,
aby do rozrzewnionych piersi wolność tulić.

Tak! To sen dawny wrócił z ponad lat mogiły
i rozdzwonił się hymnem radości w powietrzu
— w sercach wszystkich wspomnienia najdroższe ożyły
łopotem białoczerwonych flag na wietrze.

Wacław Białasiewicz

PUŁAWY.

Latem wycieczki w Nieznane, gdy z Wisły wiatr czoło chłodzi,
Wieczorem podróż tajemna po stęchłych czasu zaułkach,
Gdy księżyc-rybak po głębi gwiaździstą rosę obwoził,
Ktoś zapomnianą legendę o białych murach odszukał.
Ciszę gwiazd strzępi kasztan najmisterniejszym haftem.
Schody pobiegły w górę — „w dole zostaniesz samotny",
U wody kędyś migocą roje Sybillskich kariatyd
W łozach maj tarczę księżyca nad białą łachą rozwiośnił.
Dziś znów... jak zawsze... jak zawsze wypatrzę dawne wczoraj,
Wiesz, byłem dzisiaj znów w parku... dawne otwarłem wrzeciądze.
Tylko, już nie wiem dzisiaj, jak się ze sobą uporać
Jak zliczyć liście wspomnień na zżółkły powiędłe mosiądz...
Wciąż tylko przeszłość mityczna z białych się kolumn układa
Minął już Cezar i szkoła — wiślana legenda słabnie,
Tylko noc przeszłość otula niedomówionym bardem,
zakrywa cienie wyblakłe czternastoletnich Izabell.

DĘBLIN.

Szczerbate bastiony okoniem ryją prąd wiślany...

Rdzawą rzeczywistość przybiera koszmar
Iwangrodzkich cytadel
i pietropawłowskich z nad Newy kazamat...
Skądś
grubym cieniem rąbany obelisk na mury się kładzie...
Rok tysiąc... dziewięćset... dwudziesty...

Dziś.
Zielona fosa... dzikie róże na grobach
Czerwona — ciężka murów żałoba...
Po twierdzy wiatr pomiata liściem
Wieczorem park ociemnią gra...
I spada na mnie wierną kiścią
Dal.

Marta Wańkowiczówna

WŁÓCZĘGA

Oglądam się jeszcze raz. Ostatni przed drogą. W rozwartej furtce coraz dalszej, coraz mniej ważnej w perspektywie nadchodzących wakacji, ostatnie znaki, kreślone w powietrzu przez matkę na pożegnanie.

Spoglądamy po sobie radośnie. Wiemy obie dobrze, że najmilszy, jedyny pełen smaku wyraz to: włóczęga. Więc też tych wakacji, ostatnich przed maturą, postanowiłyśmy „porajzować" na rowerach na Wileńszczyznę. Na wielki stół wychynęły mapy. Trasa: Warszawa — Białystok — Grodno — Lida— Wilno.

— Krystyna! Szykujmy rowery! —

No i któregoś tam dnia wakacyj, po włóczędze kajakowej Pilicą — wyjechałyśmy.

Gdy już minęłyśmy te tam asfalty koło Warszawy, te tam płaskości koło Ostrowi Mazowieckiej, te tam „kocie łby" ulic białostockich — zaczęły się kresy. Z pod roweru wywijała się biała taśma drogi. Raz w górę, raz w dół. „Ciągnęłyśmy" pod górę jedną, drugą, trzecią, aby wreszcie, stęknąwszy boleśnie, gdzieś, pod na nowo sterczący szczyt piątej — podprowadzić rowery.

Po paru dniach zostały już za nami dworki z pod Grodna, stare siedliska ze ścianami obwieszonymi portretami, pełne „konsolek" i „sekretarzyków" zastawionych fotografiami.

— Widzisz, dziecko — objaśniała pani domu— ot, tu masz portret Adama, a tu jego syn Walenty, a tu dzieci Karola, brata Walentego. Sześcioro ich było. A tu, to już wnuki najstarszego z tych chłopców. A ot, moja fotografia narzeczeńska. —

Z któregoś ze stoliczków, z pośród wielu fotografii — pokazuje. Śliczne, jasne włosy grubym warkoczem spływają z ramienia. Duże, ciemne oczy patrzą z dziewczęcej spokojnej twarzy.

— A to mój narzeczony.

Ileż to lat temu? Łzy zakręciły się w starych oczach, tak pięknych, młodych na fotografii. Ręka, pomarszczona ręka starej kobiety, chcąc je ukryć udaje, że poprawia włosy. To właśnie te jasne włosy z fotografii. Teraz są siwe i skręcone starannie w mały „obwarzanek". Mąż w tym roku umarł. Jego portret, portret starego, rasowego, pięknego pana wisi na ścianie koło portretów ojca, dziada, pradziada... — To już historia.

* * *

Na rynku w Raduniu kupujemy bułki. Nasze rowery i plecaki wzbudzają naturalnie zaciekawienie.

— A skąd? A dokąd? Tyli świat na rowerach! Boże ty mój! I to tak we dwie?... Aż do Wilna?

Na rynku buduje się dom jakiś duży, porządny, murowany, pod dach już prawie podciągnięty.

— Co się buduje? —

—A to spółdzielnia ma być. Osadniki budują. —

Osadnicy? Wiem. Nowa klasa społeczna, powstająca na kresach. Żołnierze i podoficerowie, którzy za zasługi wojenne otrzymali działki po kilkanaście hektarów.

— Kryśka, pamiętasz? To wczoraj na noclegu dziedzic nam opowiadał o osadnikach, prawda? —

— Tak, tak. Mówił, że osadnicy zamiast trzymać się zwarcie, jako element polski, z dworami, występują przeciwko nim. Bardzo się na to oburzał. Pamiętasz i opowiadał o prezesie Związku Osadników. Gdzie to on mieszka? Też ma taką osadę. Pod Lidą zdaje się, tak? —

— Tak. Na trakcie lidzkim. Pięć kilometrów przed Bieniakoniami.

— Zajedźmy tam dziś. —

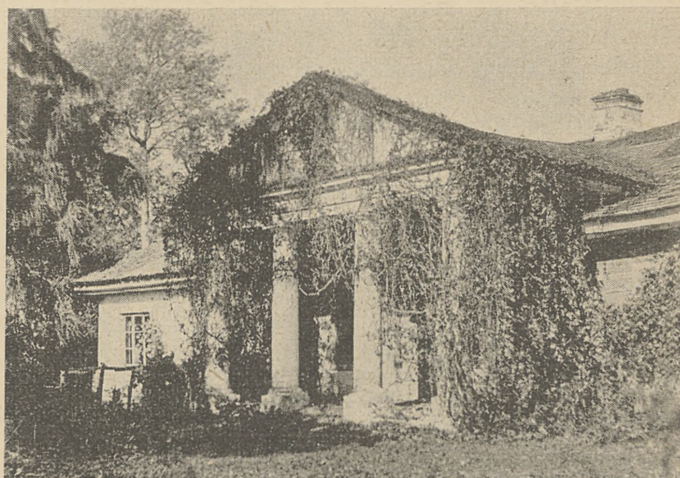
— Musiałybyśmy skręcić na Bastuny, na trakt lidzki. —

Ale po drodze złapał nas deszcz. Przejeżdżałyśmy właśnie koło „wspaniale się zapowiadającego" jak określiła Krystyna, majątku.

— Skręcaj, zajeżdżamy. Uczyli nas przecież w grodzieńskim, żeby nie omijać żadnej starej alei do dworu wiodącej, tylko bez namysłu zajeżdżać.

Po niezliczonej ilości schodów wspinających się pod kolumy ganku zbiega do nas lokaj i oznajmia, że Jaśnie Pani jest w domu.

— Oj, gorzej! — Spojrzałyśmy na siebie, wspominając jednocześnie, jak to kiedyś w jednym z



Dworek kresowy. *Ag. Photoplat*

„pałaców“ na Polesiu, naszym kuzynkom, które raidem konnym zajechały tam, powiedziano, że się na kolację wszyscy domownicy „smokingują“. Panny spojrzały z zażenowaniem na swoje bryczesy i bluzki, dalekie od poprawnej doskonałości smokingu gospodarza. Tak też było i z nami teraz, gdyśmy siedziały na wykwintnych fotelikach hollu w Horodnie w zmoczonych wiatrówkach i grubych spódnicach rowerowych.

Jaśnie Panią okazała się pani Kondratowiczowa, wdowa po generale rosyjskim.

Sumitujemy się, żeśmy tak na tatarski sposób zajechały, ale ponieważ deszcz, więc pozwoliłyśmy sobie — i tak dalej.

— Ależ proszę. Do któregoż polskiego dworu nie można zajechać każdej chwili?! — mówi nam generałowa. — A wy tak we dwie jedietie, a? Daleko?—

— Do Wilna. —

— Nu, da, da. Aż do Wilna. Z Warszawy. — Generałowa dzwoni na lokaja. Każe podać „czaj“ i mówi: — Mileńki moj—zabieritie etu sabaku. — Ładny wyżeł wynosi się z dywanu przed kominkiem.

Rozmowa toczy się o Horodnie. O sąsiedztwie.

— Pani ma tu pewnie liczne sąsiedztwo? Gojcienieszki, Horodenko, Podwaryszki, Bolcieniki?...—

— A, pardon?! Sąsiedztwo? Nu, da. Ale ja u nich nie bywam. Nie lubię, jak dziewki boso chodzą. — A u mnie w domu prawdziwy „internacjonał“. Siostra wyszła za mąż najpierw za Argentyńczyka, potem za Włocha. Ich syn Giovannino jest lotnikiem włoskim, walczył teraz w Hiszpanii. Moja córka wyszła za Anglika. Ma teraz syna. Nazywa się: John Anthony. Ja jestem Rosjanka. Jak to się wszystko do Horodna pozjeżdża (a panny służące też każda innej narodowości) — prawdziwy „internacjonał“.

Ale deszcz przeszedł, a nam się też nie chce siedzieć już dłużej, mimo, że ciasteczka dobre, jak później fachowo zauważyła Krystyna. Jedziemy.

Następnego dnia rano Kazimierz Chreptowicz, szlachcic z „okolicy“ koło Jodkiszek, z Chreptowicz, pokazuje nam „okolicę“. Trudno nam w to uwierzyć jakoś, że takie zaścianki szlacheckie, jak w „Panu Tadeuszu“, jak w „Nad Niemnem“, jeszcze istnieją. Kazimierz Chreptowicz opowiada nam jednak o tym, jak o czymś naturalnym. Chreptowicze są naturalnie szlachtą. Wywodzą się od magnackiego rodu Chreptowiczów na Kresach. Parę lat temu zaścianek był wiele większy. Parę lat temu także żeniono się tylko ze szlachciankami z sąsiednich „okolic“. Teraz jest inaczej. Chreptowicze zaczynają się żenić z dziewczynami z sąsiedniej wsi, z Kowańców. Jest ich też coraz mniej. Młodzi poszli w świat. W „okolicy“ jest teraz tylko 10 rodzin Chreptowiczów. Kazimierz Chreptowicz ma dwie morgi ziemi. Ma żonę, szlachciankę przywiezioną z pod Sanoka i synka. Kiedy mówi o ruchu spółdzielczym, o Kole Młodzieży, o konkursie rolniczym, o wystawie w Liskowie — oczy mu się jarzą. Z Kowańc i Chreptowicz była organizowana wycieczka do Liskowa, na wystawę.

— A cóż opowiadają ci, co pojechali? Zobaczyli co nowego? —

— Oj, zobaczyli, zobaczyli ciekawego. U mego stryja, Bolesława — cztery hektary gruntu. Ale on starszy człowiek, zagospodarzyć nie umie i prosto ze świniami w jednej chacie żyje. A ot, teraz, jak pojechał, zobaczył, to i u niego lepiej idzie...

Przez Jaszuny, kędy często jeździł koczem w dawnych czasach Słowacki, jedziemy do Wilna. Długim trzykilometrowym zjazdem wpadamy wprost między klęczących na ulicy ludzi, pod Ostrą Bramę. Zeskakujemy z rowerów. Koniec jazdy.

* * *

A co zostało? Czemuż to słowo: włóczęga ma mieć taki smak najpełniejszy?

W notesie trochę cyfr i zdarzeń, w głowie trochę zestawień widzianych rzeczy, a w sercu — błogość skończonego poszukiwania. Poszukiwania Polski. Szukamy tej Polski i znajdujemy Ją nie w rozintelektualizowanych rozważaniach introspekcyjnych, nie w artykułach ważkiej treści, nie w krytyce i pesymiźmie, a znagła, znienacka, niespodzianie, gdzieś pod głęboko w lesie zaszytym liściem paproci, gdzieś w chrzęście snopów zbożowych, gdzieś w pyle drożnym, owijającym się białym kołem wokół krzyża na rozstajach. I to jest wtedy najgłębsze przeżycie... Bo Ojczyzny nie czuje się na każdym kroku i na każdym miejscu, ot, tak, jak powietrze, gdy się jest w Warszawie. Ojczyzna staje się Nią naprawdę dopiero w szarych bruzdach przestrzeni polnych, na wąskich smugach rzeczek, na niezmierzoności drobnych fal jeziornych. Gdzieś w rojstach, pod mchem, wśród niskich krzaczaków, u stóp wielkich drzew śmieje się gorącą czerwienią borówek, czernią jeżyn, różowością poziomek — treść gorejąca Ojczyzny.

Z rozgryzionych zagadnień, z poznanych spraw, z tych właśnie włóczęg po kraju — idzie ku nam sprawa najważniejsza, najistotniejsza, najbardziej kochana — Polska. Polska, która nie jest dla nas tylko plamą, malowaną zielonymi farbami w atlasie Romera.

Proszę o głos!

PSYCHICZNY TARAN NA PSYCHICZNE MURY

Mur psychiczny między młodzieżą uczącą się i robotniczą, o którym pisał ob. Bohuszewicz w poprzednim numerze „Młodych Oczu", to nie papierowy parawan, który można zburzyć jednym pchnięciem ręki. Mur ten jest zlepiony z głazów różnego kalibru i różnego ciężaru. Twierdzenie, jakoby tylko psychiczna przestrzeń, próżnia uniemożliwiająca wspólny kontakt była fundamentem tej przykrej i niekorzystnej barykady — to doprawdy nic innego, tylko bezgrzeszny optymizm. Bo i skąd się wzięły owe psychiczne momenty, czy też psychiczne różnice? Przecież nie są one same w sobie smutkiem i przyczyną, musiały się wiązać z innymi problemami, wyrodzić się z innych kwestyj, z związanych z sobą zagadnień podstawowych.

Dzieli nas barykada przesądów i barykada smutnej rzeczywistości. Dzieli nas pojmowanie swojej funkcji społecznej podług kąta patrzenia na to klasy, z której pochodzimy, albo do której chcemy się wciągnąć. A że nieraz klasy te, istniejące wbrew wszelkim iluzjom, stoją na przeciwnych biegunach, bezświadomie czy planowo, to fakt bezsporny.

Wiemy dobrze, że praca każdego trybu w wielkiej maszynie państwowej i społecznej ma swoją cenę bezwzględną — o tej oczywistości musimy zawsze pamiętać.

Dzisiejsza inteligencja sama *nie wie, czy jest kastą społeczną, czy społeczną funkcją.*

To pierwsze pojmowanie roli inteligencji w Polsce zdarza się jednak częściej i ono wytwarza ekskluzywność tej grupy, zamykającej się w kręgu własnych manier, uprzedzeń, uroszczeń i błędów.

Żyje życiem własnym, swoim światopoglądem, znającym grupę z tamtej strony muru li tylko z pięknych opisów, z sielanek, z za szyby salonu czy gabinetu, sama wytwarza mury psychicznego nieporozumienia, wzmocnione dysproporcją gospodarczą.

Druga grupa, różniąca się warsztatem pracy, mająca prawo oczekiwać od inteligencji pionierskiego wysiłku w celu jej podniesienia na wyższy poziom w każdej dziedzinie, spotyka się z wielkim rozczarowaniem. Wtedy, gdy widzi, że niczego się nie doczeka, a nawet (bądźmy szczerzy) może stracić, wznosi ze swej strony mur własny, mur samoobrony, nieufnie patrząc na niedzielne beneficja z tamtej strony.

Młodzież z tej i z tamtej strony muru, gdy się spotyka na ulicy czy w fabrycznej hali, musi odczuć istnienie psychicznego rozdziału między sobą.

Rozdział ten ją razi, buntuje przeciw takiemu stanowi rzeczy, boleśnie dotyka. Dzisiejsza młodzież zda się dokładnie rozumieć, *że chcąc Polskę scementować w naród—monolit, trzeba te mury zburzyć od fundamentów, od najniższych podkładów.*

Dlatego nie wystarczą kółka dorywczej współpracy, nie pomoże mieszanie ze sobą młodzieży szkół zawodowych z ogólnokształcącymi — tak długo, jak długo młodzież t. zw. inteligencji w Polsce nie zrozumie, że rola społeczna jest tylko funkcją, a w odniesieniu do polskiej rzeczywistości — trybem aparatu państwowego. *Młodzież dzisiejsza ma pokonać przede wszystkim punkt oporu we własnym środowisku.* Powinna udowodnić zaczytanym w poezjach mamusiom, że życie to twarda poezja czynu i walki, że życie ma dwie strony. Tę pierwszą stronę, polerowaną i tę drugą, co tkwi głęboko w ziemi zaoranej i w kurzu fabrycznym, którą poezja zna tylko z poezji, a która jest podstawą każdego ustroju i każdego życia.

Trzeba we własnym środowisku zaszczepić zrozumienie, że usłyszany „brzydki wyraz" z tamtej strony muru nie uprawnia do odwrotu i chowania głowy w piasek.

Jak najszybciej winno nastąpić wyrównanie poziomu ludzi z tej i z tamtej strony barykady; nie będzie to rzecz łatwa, należy przewidywać ogrom pracy — nie powinien on jednak odstraszyć ludzi ideowych.

Właśnie młodzież jako element najaktywniejszy winna podjąć wykonanie tego przedsięwzięcia. Wtedy nastąpi równanie w górę całego społeczeństwa. Bo gdy „tamta" strona przystąpi do burzenia muru, może zapoczątkować katastrofalne równanie w dół...

Nie wysuwam tu drobiazgowych recept. Wszelkie przedsięwzięcie zgodne z tym celem ma sens bezwzględny, niezaprzeczony.

Tylko jeszcze raz: sądzę, że burzyć mury psychiczne należy i można jedynie taranem psychicznym, a pracę nad tym zacząć trzeba od swego otoczenia na własnym odcinku w koło siebie, a potem wejść na mur, podać rękę koledze z drugiej strony i wspólnym wysiłkiem mur obalić, pole na którym stał, zaorać — stworzyć teren dla wspólnej pracy, twardej, szarej, codziennej pracy u podstaw Rzeczypospolitej.

F. Z. Weremiej.

„A kto chce rozkoszy użyć Niech idzie w P. W. K. służyć"

Teraz, kiedy wszyscy żyjemy wspomnieniami z minionych wakacji, miło jest nam — pewiaczkom, które część tych wakacji spędziły w Istenbej na Śląsku Cieszyńskim w obozie P. W. K. pomarzyć, jak to tam było...

Niech się tylko takie dwie pewiaczki spotkają, to już końca niema wspomnieniom: a czy pamiętasz? a wtedy? a jaktośmy?

O tak, dobrze pamiętam!

Było nas na obozie około 350-ciu z okręgu krakowskiego i warszawskiego. Dobrze nam było razem, a jak — opowiem.

Na dużej polanie, przez którą przepływa bardzo w tym miejscu niepozorna rzeczka Olza, stoi szeregiem 13 domków, zbudowanych na stałe tak przemyślnie, że tylko ściany brezentowe obciąga się na czas trwania obozu. Trochę dalej — kryta jadalnia i kuchnie. Obok drwalka i letni domek gospodarczy schroniska.

Na środku polany króluje, chwiejąc się majestatycznie ponad koronami okolicznych drzew, maszt, u jego stóp ołtarz, a trochę dalej dwa ogniska. Trzy symbole najuroczystszych chwil w życiu obozu.



Z obozu P. W. K. w Istebnej, 1937 r.

Na drugim brzegu Olzy, — duży budynek drewniany. To zimowe schronisko P. W. K., obecnie mieszczące komendę obozu.

Normalne życie obozu rozpoczęło się w niedzielę 4 lipca uroczystą mszą i wciągnięciem sztandaru na maszt.

gadu-gadu

HOP DZIŚ DZIŚ! — NA SZTUBACKIE ZAPUSTY...

Rozdeszczyło się i rozśnieżyło na dobre. Grudniowa plucha, okres za pasem — wszystko to „muruje" nas w domu. Niedługo jednak skończą się białe noce wkuwania: nadchodzą ferie, dwa tygodnie śnieżnego i lodowego raju. I ten, co bezlitośnie znęcał się w bezsennych nocach nad dyskusją algebraiczną i Kridlem i ten, co na filozofii odrabiał niemiecki, a na polskim uczył się historii; wreszcie spotykany w każdej klasie typ fachowego ucznia, któremu jeden kolega pisze referat a drugi rysuje schemat, ucznia, który całe życie ma dobre oceny — wszyscy rozprostujemy zasiedziałe w szkolnej ławie gnaty: na trzy tygodnie zamkniemy się we własnym bezprofesorskim świecie. Lśniący prostokąt lodowiska i niepokalana biel płaszczyzn śnieżnych zawładną nami. Miną szybko „nasze" dni. Rozpoczniemy drugie półrocze.

W t. zw. międzyczasie uderzy dwanaście razy zegar w Sylwestrowy Wieczór. Nazajutrz wszystkie gazety ogłoszą przepowiednie na rok przyszły, w których dorocznym zwyczajem będzie i zgon wybitnego polityka w państwie środkowoeuropejskim i wybuch wojny w południowej Ameryce. Ale przecież mnie i ciebie, Stefka i Wacka obchodzi to tyle samo, co wyprawa „Armii Zbawienia" na Malakkę — odkładamy deski w kąt: nadchodzi karnawał.

Nazwa tego sankcjonowanego okresu nieuctwa, ten niepokojąco - dwuznaczny kalambur, polegający na rozdzieleniu terminu na „nawał kar" bardziej niż pierwszy odpowiada szkolnej rzeczywistości. „Inaczej się bawiono ongiś, inaczej się bawimy dziś..." jak napisał pewien grafoman w szkolnym „Słoneczku", niezależnym organie młodzieżowym, wydawanych przez trzech przyszłych Tuwimów i jednego Wrzosa. Właśnie teraz, po okólniku, skracającym czas zabaw szkolnych do godziny 21-ej, „tańcujące herbatki" i „wieczorki z programem artystycznym" znalazły się w nowej fazie rozwoju.

Kwestia każdej „imprezy towarzyskiej" (tak się nazywa urzędowo muzyczno-choreograficzne wyczyny uczenic tudzież uczniów klas wyższych w Dzienniku rozporządzeń) przedstawia się mniej więcej następująco:

Po tym dni płynęły już jeden po drugim, jeden podobny bliźniaczo do drugiego, a w rzeczywistości — każdy inny. Barwne życie obozowe urozmaicały nam jeszcze liczne i bardzo piękne wycieczki (np. do zameczku p. Prezydenta w Wiśle, na Baranią Górę itp.), biwaki no i... alarmy.

Ten, kto nie był na obozie, nie ma nawet pojęcia, jak niebezpieczna gorączka alarmowa panuje wśród młodszych pewiaczek. Nie można sobie wyobrazić, jak potrafimy być podejrzliwe. Niewinny dzwoneczek zabłąkanej krowy, niebaczny gest czy dwuznaczne słowo kogoś z Komendy — wzbudzają popłoch i pobudzają naszą czujność. Ale to tylko na początek. Po tym, kiedy ucho przyzwyczaiło się do specyficznego brzmienia alarmu, nawet trąby Jerychońskie nie robiłyby na nas wrażenia. Najbardziej denerwującym ale i najmilszym był pierwszy alarm; najsmutniejszym ostatni, po którym ściągnięto z masztu sztandar.

Niewątpliwie najmilszą chwilą dnia obozowego są ogniska. Codziennie wieczorem, kiedy cała kompania zbiera się przy ogniu, nigdy nie ma dość czasu na wyśpiewanie się, na wypowiedzenie wszystkich żali i smutków, na napatrzenie się pokazom.

Na naszym obozie było wprowadzone przy apelu porannym czytanie jakiejś myśli Komendanta, według której staraliśmy się przeżyć dzień cały, a po tym omawiałyśmy ją wspólnie przy ognisku. Codziennie z taką samą niechęcią witało się Bogu ducha winną służbową meldującą, że „czas ogniska skończony".

Co niedziela odbywały się wspólne ogniska całego obozu. Dwa razy urządziła nam je ludność okoliczne, z którą współżycie nasze było bardzo serdeczne. Jedno z nich przedstawiało wesele na Śląsku Cieszyńskim. Piękne, charakterystyczne tańce i piosenki zostały nagrodzone długimi oklaskami.

Ale, gdy mówi się już o ogniskach, to nie można zapomnieć o piosence pewiackiej. Na obozie śpiewa się ciągle. Śpiewa ta z ładnym głosem i ta bez głosu, przy ognisku i przy myciu menażek, przy obieraniu ziemniaków, zbieraniu chrustu na ognisko i wykuwaniu OPGazu. Śpiewa się o wszystkim, o pogodzie i o niepogodzie, o kaszy i kwatermistrzu, o wielkiej komendzie i marnych pewiaczkach.

Właściwie, żeby opowiedzieć o obozie, wystarczyłoby prześpiewać wszystkie piosenki obozowe i te stare, które wszyscy znają, i te zupełnie nowe, które powstały dopiero w Istebnej.

„...śpiewaj z fasonem, a nie półtonem
trzeba zasadę pewiacką znać..."

A więc śpiewa się ciągle.

(c. d. na str. 10)

G E N E Z A.

(Gimnazjum męskie).

Akt I.

Wyłania się projekt: robimy tańcówkę. Ogólny aplauz. Następuje wybór delegacji do p. Dyrektora w następującym składzie personalnym: vice-prezes samorządu, prezes koła sportowego, kierownik świetlicy.

Akt II-gi. Gabinet p. Dyrektora.

Za biurkiem surowa postać władcy. Po krótkim namyśle: zgoda!

— Tylko mi się nie zbłaźnijcie! — na odchodnym, jako zachęta do.... pracy.

(Gimnazjum żeńskie).

Akt I. Posiedzenie koła LMiK, LOPP czy innego PCK. Nieśmiałe projekty (—... a może jakaś impreza dochodowa...). Nieśmiałe potakiwania. Nieśmiały wybór delegacji.

Akt II. Gabinet p. Przełożonej. Kuratorka koła przemawia w imieniu uczennic... Mówi o kulturze życia zbiorowego, o konieczności współżycia towarzyskiego, o potrzebie użycia życia przez młodzież, jako taką...

P. Przełożona zgadza się pod warunkiem, że zostanie jej przedłożona lista zaproszonych gości do zakwalifikowania. Poza tym nie ma żadnych zastrzeżeń.

P R A E L U D I A.

(we wszystkich szkołach)

Zebranie. Komitet Organizacyjny. Podkomitet wykonawczy. Wybiera się zwykłą większością gło-







A ileż to razy idą drogą pomęczone pewiaczki, smutne z nosami opuszczonymi. A niech tylko która zaśpiewa: „hej tam na obozie“ czy coś innego, zaraz się głowa podnosi, nogi same przyśpieszają kroku i zapomina się o tym, że do obozu jeszcze daleko, że nogi bolą i że na nich napewno są pęcherze.

„Chodzi warta ciemną nocą, raz dwa trzy
Gwiazdy na niebie migocą, raz dwa trzy
Coć tam w krzakach się porusza,
Więc drży wartownicza dusza trala, la la la.

Tak mówi o warcie piosenka. I podobnie jest w rzeczywistości. Ubiorą człowieka w długi płaszcz żołnierski, dadzą dość ciężki karabinek i każą chodzić, patrzeć i słuchać.

Tak wyglądał nasz obóz w Istebnej.

A jego plon, to oprócz tężyzny fizycznej, oprócz licznych oznak sportowych tu zdobytych, oprócz kolorowych sznureczków na granatowych patkach rękawów — widomy znak ukończenia kursów fachowych — ta przede wszystkim świadomość dobrze spełnionego obowiązku.

Kto tak jak my — pewiaczki chce stanąć do pracy z zasobem sił i energii, niech zakosztuje tych właśnie obozowych rozkoszy.

L. Winiarska.



Do 3 str. okładki: Obraz 3-ci „Gałązki rozmarynu“.

---

sów. Komitet dzieli się na sekcję: propagandową, administracyjną, bufetową i sekcję atrakcji. Oprócz tego wybiera się specjalną komisję dekoracyjną. Kontraktuje się orkiestrę lub wypożycza patefon, zamawia się ciastka, bierze się w komis słodycze. Praca wre. W dniu zabawy komisja dekoracyjna zostaje w niektórych szkołach zwolniona od zajęć i przystępuje do pracy. Opróżnia się salę gimnastyczną lub aulę, wszystkie istniejące na sali światła usiłuje się przyćmić przez przytwierdzenie do sufitu podłużnie pociętych pasków bibułki. Zajmuje to siedem do dziesięciu godzin czasu. Na tym dekoracja się kończy...

B A L.

Dzisiejsze bale szkolne odbywają się pod przewagą koloru granatowego, srebrnych guzików, błękitnych i karmazynowych tarcz. Jeszcze nie tak dawno ósmoklasiści olśniewali śnieżną białością gorsów, czernią krzywo zawiązanych muszek i atłasowym połyskiem wyłogów smokingowych marynarek. „One“ wyglądały wtedy jak barwne motyle, jak urocze kwiaty w przepięknych kreacjach „Maison Mama“. Dziś, granat, granat, granat... zachodzi obawa, że na takim balu może nastąpić eksplozja. Trudno, ale na takich umundurowanych balach, po trzech wiedeńskich walcach, z trudem odróżniam Stefka od Wacka i Staśka od Zbyszka, twierdząc, że każdemu z nich na imię... Zosia. Powodów tego należy szukać nie gdzieindziej, jak w numeracji naszych gimnazjów: męskiego i żeńskiego — 69 i 96.

Dzisiejszy karnawał, w odróżnieniu od dawnych, dobrych czasów, gdy o godzinie dziesiątej p. Dyrektor na usilną prośbę komitetu, przedłużał zabawę do dwunastej, został licząc skromnie obcięty o jakieś trzydzieści procent. Karnawał kończący się o godzinie dziewiątej czy dziesiątej, przedłużany wzajemnym odprowadzaniem się do domu, stracił coprawda wiele na uroku... Wyszedł z tego jakiś... tydzień propagandy humoru i radości wśród młodzieży. Brak dawnej sztubackiej fanfaronady, werwy...

Stop! tylko bez goryczy, koledzy! W naszej mocy jest wskrzesić tradycje, nawet w zamkniętych okólnikiem ramach. Musimy zapomnieć o obserwujących nas przez lorgon ciociach i opiekunkach i nadać swojemu karnawałowi rozmach, nie gorszy od staropolskich zapustów. N i e c h n a s z k a r n a w a ł n i e b ę d z i e z a p u s t y. (Dowcipne, co?). Musimy wypełnić go żywą, pomysłową treścią, zapożyczoną nie z „Marlena-Dancing“ ale od tych tam... żaków krakowskich, wesołków przednich, którzy za maszkary przebrani, zacnie i godnie sobie swywolili w dawne uczniowskie zapusty.

Trzeba jak najlepiej wyzyskać te trzy czy cztery godziny usankcjonowanej, „godziwej rozrywki“!

...Rozpoczynamy drugie półrocze, z piosenką na ustach! W rytm muzyki, szybki jak mijająca młodość...

W e s o ł e j z a b a w y ! ! !

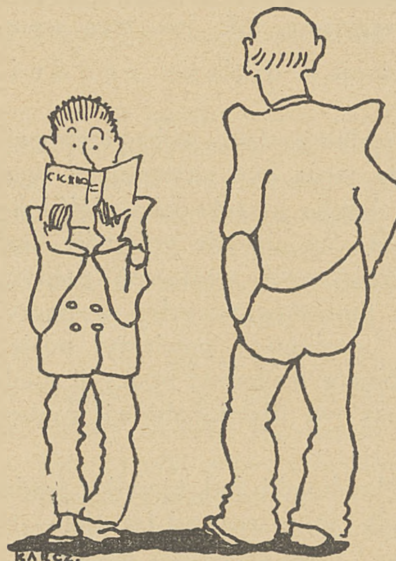
Cz. D.

KARCZ

Bajka o cieniu

(nie z Andersena)







O konkursie na nowelę.

Trudno... nadeszła przykra chwila i już dłużej nie wypada milczeć. A więc: — ogłaszamy wyniki Konkursu na nowelkę, obwieszczonego szumnie w 1-ym n-rze „Młodych Oczu". Miłe złego początki, ale koniec — kompromitujący. To, co było dotychczas tajemnicą redakcji i prześwietnego jury, a zaczynało już być tajemnicą publiczną, brzmi następująco: Sąd konkursowy po przeczytaniu 29 nowel nadesłanych na konkurs i ocenie ich wartości doszedł na posiedzeniu w dn. 20 września b. r. do wniosku, że żadna z tych nowel nie nadaje się do... druku. Wszystkie te miłe opowiadania mają cechę wspólną: brak wartości literackiej. Z jednym może wyjątkiem: jest to wdzięczne w renesansowym stylu opowiadanie historyczne, w którym brak jednak jakiejkolwiek fabuły nowelistycznej.

Sąd postanowił nagród nie przyznawać, a redakcja — ustalać w następnych konkursach termin nie dwumiesięczny, powakacyjny ale co najmniej — półroczny.

— — —

(Ufff...! nareszcie nam ulżyło).



Do art.: „Pięć minut w Czechosłowacji".

Z wyspy paradoksów i pancerników.

Andrzej Mirski

...OD SPRAW WCZORAJSZYCH DO DZISIEJSZYCH SPRAW...

Zapytany o zdanie w sprawie rozgrywających się skomplikowanych wypadków — od kłopotów sąsiada, który ma trudności z wychowaniem krnąbnego syna, do wyniku jakiegoś zatargu międzynarodowego — Anglik najczęściej odpowie: — „No, zaczekamy, zobaczymy“.

Wypadków się nie buduje — zdaniem przeciętnego Anglika: wypadki układają się same. Gdy zaś nadchodzi potrzeba działania, gdy sytuacja dojrzeje i wymaga rozstrzygnięcia, wówczas działa się szybko, energicznie, tak, jak tego wymaga chwila.

Zastrzeżenie — działa się zgodnie z prawem.

Jest to realna postawa wobec rzeczywistości. Przykładem tego może być następujący wypadek: Gdy w 1931 r. Anglia przechodziła ciężki kryzys finansowy i panika na giełdzie postawiła kraj w przededniu niebezpiecznych wydarzeń politycznych, król Jerzy V-ty, przerwawszy urlop wypoczynkowy, powrócił do Londynu i powierzył misję utworzenia nowego gabinetu leaderowi opozycji niedawno zmarłemu Ramsay'owi Macdonaldowi, znakomitemu mężowi stanu.

Otóż Macdonald był nietylko leaderem Labour Party, nietylko jej filarem od lat wielu—był jednym z jej twórców. Co do szczerości jego przekonań i sympatji politycznych nie można mieć żadnych wątpliwości. Gdy jednak Anglia stanęła w obliczu groźnych wypadków, ujął ster rządów w swe ręce, nie poto, by poprowadzić kraj po zupełnie nowej drodze — drodze, wskazywanych przez najbardziej radykalny odłam Izby Gmin. Macdonald, leader tego odłamu, podał rękę Baldwinowi, leaderowi partii konserwatystów i utworzył wraz z nim tak zwany rząd narodowy. Kryzys był zażegnany, wielki wstrząs polityczny ominięty. — Anglia odetchnęła.

Macdonald miał poczucie rzeczywistości i szacunek dla tradycji. Na tych dwóch rzeczach opiera się cały układ społeczny angielski. One są motorem równomiernego rozwoju kraju, posuwania się społeczeństwa po drodze postępu. Poczucie rzeczywistości, zrozumienie wymagań życia współczesnego sprawia, iż w życiu społeczeństwa odbywa się nieustanna przemiana, przekształcenie starych zwyczajów przez uzupełnienie ich i przystosowanie do nowych warunków. Odbywa się to bez wstrząsów, bez zahamowań, bez zerwania nici tradycji, wyciąga się ją jakgdyby w nieskończoność. Rzecby można, we wszystkich dziedzinach życia angielskiego dzieje się tak, jak w prawodawstwie angielskim. Nie ma potrzeby zniesienia jakiegoś przestarzałego prawa, o ile okaże się niesprawiedliwym, lub niewłaściwym w dzisiejszych warunkach. Sędzia, nie zmieniając treści tego prawa, czego mu uczynić oczywiście nie wolno, zmodyfikuje tylko nieco sposób jego zastosowania odpowiednio do współczesnej rzeczywistości. Trzeba tu wyjaśnić, że angielski system wymiaru sprawiedliwości nie jest całkowicie oparty na kodeksie — zbiorze praw, ułożonych jednorazowo według jakiegoś określonego schematu. Oparty jest na przeszłości, do sędziów należy zadanie dostosowania go do wymagań teraźniejszości.

Jest to prawo niepisane, stare, jak Anglia, może i jeszcze starsze. Prawo zwyczaju. Wydając wyrok sędzia uwzględnia wyroki wydane przez innych sędziów w podobnej sprawie. Oczywiście trudno jest o dwie zupełnie jednakowe sprawy — okoliczności, w jakich zatarg z prawem powstał, mogą być podobne, tak samo jak i pobudki działania i powody zatargów. Ale jest rzeczą oczywistą, że nie mogą być identyczne okoliczności w dwu sprawach zaszłych nawet w ciągu jednego tygodnia. Cóż dopiero w dwu sprawach oddalonych od siebie w przestrzeni kilkunastu i kilkudziesięciu lat. To też sędzia dzisiejszy opiera się na sprawie dawnej jako na precedensie, wydając zaś wyrok w podobnej sprawie w zmienionych przez rzeczywistość życia współczesnego okolicznościach, dostosowuje go do dnia dzisiejszego; zmienia, przekształca — i podaje następnym sędziom jako precedens. To sprawia, iż nawet wyrok oparty na prawie, którego początki giną w ciemności wieków, jest wyrokiem życiowym, zrozumiałym i sprawiedliwym. Pocóż znosić, kasować, obalać, skoro rzeczywistość potrafi je sama zmienić, zmienić nie przez nagłe nowe prawo, które może okazać się nieżyciowe już po upływie lat kilkunastu i skolei będzie musiało być skasowane, lecz przez ciągłą łagodną nigdy niekończącą się przemianę, ewolucję.

Ewolucję, nie — rewolucję. Cóż komu przeszkadza, że marynarze angielscy (a za nimi zresztą

i marynarze całego świata) pod dziś dzień noszą naokoło czapek czarną wstążeczkę na znak żałoby po zgonie admirała Nelsona, a na kołnierzach trzy tasiemki białe na pamiątkę jego trzech zwycięskich bitew (Trafalgar, Kopenhaga i nad Nilem)?

Rewia floty angielskiej w czasie uroczystości z okazji koronacji króla Jerzego VI-go z pewnością nie wykazała, by to przywiązanie do początków zeszłego stulecia utrzymało stan urządzenia i uzbrojenia okrętów angielskich na stopniu czasów bitwy pod Trafalgarem.

Życie popłynęło naprzód i na jego fali coraz nowsze, coraz inne okręty...

A wstążeczka swoją drogą jest wzruszająca i... nieszkodliwa. Owszem pożyteczna. Jako symbol ciągłości zdarzeń historycznych. Jako dowód ich nieustannej przemiany. Jako wreszcie wyraz drogiego Anglikowi przekonania, że r z e c z y, które raz zostały ustanowione, nie należy zmieniać, o ile to nie jest koniecznie potrzebne.

Żaden właściciel zamku, albo nawet niedużej rezydencji miejskiej, nie pomyśli nawet o tym, aby zburzyć swój dom, lub przebudować chociaż częściowo na nowoczesny pałacyk.

Czcigodna rezydencja, pamiętająca nierzadko czasy królowej Anny, otrzymuje łazienki, elektryczność, telefon, radio. Przy domu dobudowuje się garaż, w parku korty tenisowe. Ma cały konfort, na jaki stać wiek XX, nie traci nic z czaru minionych dni.

Co do instytucyj — najbardziej zabytkową jest chyba instytucja monarchii. Jest najbardziej też charakterystyczna dla usposobienia i zamiłowań narodu angielskiego, najsilniej przywiązanego do wolności i najszczerzej demokratycznego społeczeństwa w świecie.

W Hyde Parku, wielkim parku, położonym w samym sercu Londynu, są wystawione mównice. Może na nie wejść każdy kto chce.

Może mieć do przechodniów przemówienie na każdy temat — od zalet wegetarianizmu do wad najnowszego kierunku literackiego. Nie wolno tylko powiedzieć nic ujemnego o członkach domu królewskiego.

Nikt zresztą tego nie myśli robić. Pisma ilustrowane są pełne portretów dzieci królewskich i zdjęć z ich wycieczek, czy zabaw. Ślub w rodzinie królewskiej jest wydarzeniem dnia, przy którym bledną wszystkie wypadki polityczne w kraju czy za granicą. Żadne otwarcie wystawy czy poświęcenie nowego gmachu szpitala lub szkoły — nie jest dobrze zorganizowane, o ile nie będzie na nim obecny jakiś przedstawiciel domu panującego. A l e nawet najmłodszy uczniak angielski dobrze wie, że Wielką Brytanią i całym Imperium rządzi premier na czele gabinetu, który ma za sobą większość w parlamencie i że król ma mniej do powiedzenia w sprawach polityki, niż każdy z ministrów rządu Jerzego Królewskiej Mości.

Że król otwiera parlament... w czasie wyznaczonym przez rząd. Że król odczytuje mowę tronową ułożoną przez premiera, ba! podpisaną przez króla przed wyruszeniem (uroczystym, z zachowaniem całego ceremoniału średniowiecznego) na otwarcie parlamentu. Podpisaną na znak, że król niczego samowolnie w tej mowie nie zmieni.

Perfidia? Komedia? Broń Boże. Poprostu życie sprawiło — bieg wypadków w ciągu wieków sprawił, iż władza królewska jako forma rządzenie krajem przez człowieka, który kwalifikacje do rządzenia nabywa przez sam fakt urodzenia się jako następca tronu, okazała się mniej wygodna i pożyteczna dla kraju, niż forma rządzenia przez premiera.

Nie mam tu na myśli wieku XVIII-go. Parlament Cromwella bynajmniej nie był instytucją demokratyczną. Prawdziwy rozwój parlamentaryzmu w Anglii datuje się od początku panowania dynastii Hanowerskiej. Od czasu wstąpienia na tron Jerzego I-go władza królewska przeszła do rąk premiera, a król zaczął przemieniać się w symbol.

Rewolucja? — nie, ewolucja. Poprostu Jerzy I — Niemiec z Hanoweru, nie znał języka angielskiego i człowiek, stający na czele jego grupy doradców, wykonawców jego zleceń, jego ministrów, Walpole — rządził Anglią zamiast niego... i wszyscy premierzy po nim. Ale król jest drogi sercu Anglików. Król unowocześniony, przemawiający przez radio i podróżujący samolotem, ubierany w uroczyste, tradycyjne, średniowieczne szaty i koronowany z niebywałym przepychem, jako władca narodu, który kocha wolność. Narodu, który przyjmuje każde „dziś“ jako konsekwencję „wczoraj“. Którego kraj jest kolebką parlamentaryzmu. I miejscem powstania pierwszych organizacyj robotniczych. I krajem, gdzie szpitale, sierocińce są w olbrzymiej większości utrzymywane z zapisów i fundacyj prywatnych. Gdzie każdy obywatel ma prawo do własnego zdania. Krajem, o którym mówi Tennyson:

Kraj co od wieków cieszy się wysokim
Szacunkiem innych ludów. Ziemia praw.
Kraj, w którym wolność kroczy równym krokiem
Od spraw wczorajszych do dzisiejszych spraw.

Mieczysław Wionczek

PIĘĆ MINUT W CZECHOSŁOWACJI

Przesiadamy się w Przemyślu, Chyrowie... A potem jeszcze 22 km. kolejką prywatną służącą do eksploatacji lasów karpackich, przechodzącą na pewnym odcinku przez terytorium czechosłowackie. 3 godziny ciągnie nas mały, pamiętający jeszcze c. k. monarchię wagonik, samowarek, na którego kominie lśni miedziana blacha z wytłoczonym napisem „C. EIER Budapest 1912". Nie wiem czy wysłużona maszyna obchodziła dwudziestopięciolecie swej kariery, czy uroczystość przewiezienia 100-tysięcznego czy milionowego metra drzewa, ale lśniąca blacha świadczy, że ktoś o niej pamiętał. Może to tylko równie wysłużony maszynista w dniu jubileuszu wyczyścił jej metalową metrykę, poklepał starą przyjaciółkę i rzekł (sam do siebie): starzejemy się. A parowozik potwierdził to kłębem pary i cieniutkim gwizdem: ta-ak, ta-ak. 3 godziny trwała nasza jazda: z góry pędziliśmy w podskokach jak debiutujący narciarz raz na lewo, raz w prawo, pod górę sapaliśmy razem z samowarkiem, dodając mu tym sapaniem otuchy.

Granica... ta łąka jeszcze nasza, a zagajnik bukowy już nie... na brzegu lasku ułożone co 10 m. posmarowane wapnem kamienie to mur, zasiek z drutów ,za które nawet ręki człowiek wyciągnąć nie może... bo to już nie twoje. Mała dziesięcioletnia może jodełka rośnie po tamtej stronie ale ściana tam jest gęsta, zbita, niewyrozumiała, jak te białe błyszczące w słońcu kamienie i odpycha małą jodełkę. Drzewko wyciąga gałęzie do słońca, chce wolności. Ślad człowieka — kamień nie lśni już zdaleka, zasłaniają go z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc drobne, wąziutkie soczysto-zielone igiełki jodły, która chce żyć... wszystko jedno czy po tej czy po tamtej stronie. Kiedy przejeżdżałem, gałązki przeskoczyły już ponad kamieniem i rzucały cień na polską łąkę. Może dlatego były tak śmiałe, że polskie drzewko nie pamiętało ani nie słyszało o latach 1918—20, o Cieszynie Polskim, Tešinie Českim, o polskich kolejarzach i górnikach z Frysztatu, z Morawskiej Ostrawy, odsyłanych do granicy w ciągu 24 godzin.

Ludziom zabroniono, aby przerzucali swe serca ponad białymi kamieniami, aby ich serca rzucały cień na polską łąkę, na polskie pole. O jodełce nikt nie myślał. Chociaż przyjdzie chyba którego dnia strażnik czeski i zetnie małą jodełkę, aby nie zasłaniała niewielkiego, lecz ważnego kamienia.

Przed granicą samowarek przystanął, aby uspokoić bicie serca po niezliczonych wdrapywaniach się pod górę i po szaleńczych wyścigach w dół. Z małej budki o wielkim szyldzie „Balnica" wybiegł jakiś człowiek w pół-kolejowym, pół-strażniczym stroju. Krzyknął coś. Pociąg szarpnął wagonikiem, cofnął się w tył dla nabrania rozpędu i ruszył ku ścianie lasu. Zderzył się z nią, odtrącił białe kamienie, przepchnął gałęzie... już nie nasze... i wjechał w ciemny tunel. Nie wiem, czy po tamtej stronie niebo jest inne, bo nie było widać go wcale. Naokoło nas gęstwina gałęzi, które szczelnie zamykały się ponad pociągiem, uderzały o ściany wagoniku; kilka najśmielszych chciało wejść przez okno. Pociąg szedł równo, nie podskakiwał i nie sapał, musiał zachować powagę. Nie byliśmy przecież u siebie. Pomimo słonecznego dnia w wagonie panował mrok, byliśmy jak kocięta, które ktoś włożył w worek i niesie... Czy wiedzą, gdzie? Jechaliśmy tak kwadrans a może tylko pięć minut, każdy patrzył na ciemną zasłonę przesuwającą się przed oknami, przytłoczony mrokiem, usiłując wchłonąć w siebie egzotykę starego górskiego lasu, przez który przedrzeć się równie trudno jak przez puszczę Brazylii, jakąś egzotykę spotęgowaną odczuciem, że to nie nasz las. Wreszcie wyskoczyliśmy z tunelu. Po gwizdku lokomotywy, która mogła już zrzucić maskę powagi, potem po uciekających, niknących w oczach białych kamieniach poznaliśmy, że to znów nasza strona. Lokomotywa zaczęła podskakiwać, przechylać się na lewo i na prawo, gwizdać, sapać. W nas samych też coś się zmieniło. Znikła obcość przytłaczająca. Znów widać było biegnące po obu stronach pociągu góry o łagodnych kształtach, ustawione jedna obok drugiej, równo i porządnie. Gdzieś w głębi świadomości tkwił obraz, że oto my warszawscy, krakowscy, wileńscy inteligenci przejeżdżamy z oficjalną wizytą, a na nasze powitanie góry zrobiły zbiórkę i ustawiły się w karnym dwuszeregu. Stoją wyprostowane, z głową do góry, zapięte na ostatni guzik w swych ciemno-zielonych, ciepłych, jodłowo-bukowych ubraniach. Bezleśne szczyty przypominają ostrzyżoną głowę rekruta. Wreszcie pojawiają się po obu stronach toru przyklejone do zboczy chaty. Niewielkie, posmarowane paloną gliną na czerwono lub zwykłą na żółto, robią wrażenie haczyków do sznurowadeł na butach olbrzymów zwołanych na zbiórkę.

Nie wiadomo skąd wybiega mały strumyczek i towarzyszy parowozikowi. To sznurowadło jednego z olbrzymów, widocznie źle je zawiązał. Pociąg zwalnia, przejeżdża powoli koło zbudowanej przed mostkiem na strumieniu bramy, na której widnieje napis: J. H. P. 62 Kompania Pracy.

Wreszcie zatrzymuje się, aby wyrzucić bagaż, który przyprawił go o tak wielkie zmęczenie: 40 maturzystów—ochotników do Junackich Hufców Pracy.

Mała stacyjka Żubracze ożywia się. Pewnie rzadko widuje tylu ludzi naraz. Parowozik żegna nas przyjacielskim gwizdnięciem i jedzie dalej.

Zabieramy walizki i idziemy do obozu.

Wieczorem w małej kapliczce, zbudowanej przez poprzednią turę w lesie, na zboczu górskim, rozlega się chóralny śpiew: „Boże coś Polskę", a potem „My, awangarda pracy, armia twarda, nasz los, to Polski los". Słychać śpiewną wymowę Wilnianina, i lwowskie „zaciąganie" i twarde, wyrąbane słowa absolwenta gimnazjum z Cieszyna. Śpiewają maturzyści z Wołynia, Bydgoszczy, Łodzi i Warszawy. Z pobliskiego magazynu dolatują jakieś metaliczne dźwięki, jakby akompaniament do naszego śpiewu. To porządkowanie łopat i kilofów.

Od jutra budujemy drogę, która ma połączyć Cisnę z Łupkowem.

KRONIKA „STRAŻY PRZEDNIEJ"

Mianowania.

Na wniosek ob. Czesława Sójki, Naczelnika Okręgu Poznańskiego, Naczelnika Organizacji mianował ob. Franciszka Procha instruktorem okręgowym Okręgu Poznańskiego, ob. Czesława Halagierę kierownikiem obwodu Inowrocław, ob. Z. Orłowskiego kierownikiem obwodu Chodzież. Równocześnie Prezydium Rady Naczelnej zatwierdziło organizację wyżej wymienionych obwodów. Naczelnik Organizacji powierzył redakcję Biuletynu Informacyjnego i Instruktorskiego ob. Wiktorowi Glazerowi z G. W. W.

Ministerstwo W. R. i O. P. o obozach.

Podajemy wyjątek z pisma W. R. i O. P. nadesłanego w sprawie tegorocznych obozów letnich zwizytowanych przez przedstawicieli Ministerstwa: „*Wizytacja obozów „Straży Przedniej" w Stajkach, w Hołówkowie, w Swarzewie i nad jez. Sajno, przeprowadzona z ramienia Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w lipcu b. r. stwierdziła dobrą opiekę wychowawczą ze strony kierownictwa obozów, należytą organizację obozów, dobry stan fizyczny i moralny uczestników, oraz pozytywne wyniki pracy obozowej*".

Doroczne zebranie Rady Naczelnej odbędzie się dnia 19 grudnia b. r. w lokalu Organizacji.

Komenda Główna Z. S. z org. ref. strzel. sport. w G. W. W.

G. W. W. otrzymało następujące pismo Komendy Głównej Związku Strzeleckiego: „*W odpowiedzi na pismo L. dz. 1005/37 z dnia 7.IX. b. r. komunikuję uprzejmie, że Komenda Główna Z. S., jako Mandatariusz Sportu Strzeleckiego wszelkie poczynania Władz Organizacji „Straż Przednia" w kierunku rozwoju i propagandy sportu strzeleckiego, zawsze chętnie popierać będzie i wszelkiej pomocy tak organizacyjnej jak i technicznej na każde zwrócenie się, w miarę swoich możliwości, udzieli. Przyjmując powstanie referatu strzelectwa sportowego przy Gł. Wydz. Wyk. Organizacji, życzę mu jak najlepszego rozwoju pracy. Pozostaję ze strzeleckim pozdrowieniem, Komendant Główny pplk. Marian Frydrych*".

Okręg Wołyński.

W listopadzie zespoły Straży Przedniej zwizytowała p. Wizytatorka W. R. i O. P. p. Jadwiga Michałowska. W konferencji powizytacyjnej z Naczelniczką Organizacji podkreśliła dobrą postawę ideową młodzieży mimo trudnych warunków pracy. Wyraziła życzenie, aby praca zimowa była przygotowaniem do pracy realizacyjnej w lecie, a więc: aby przygotowywała materiały do ognisk, świetlic, zapoznała gruntownie się z terenem obozów pod względem krajoznawczym, narodowościowym, kulturalnym itp. P. Wizytatorka przewiduje objazd wszystkich Okręgów zgodnie z planem Wydz. Wychowania w Min. W. R. i O. P., który pragnie w ciągu bieżącego roku zapoznać się w terenie z pracą szkolnych organizacji.

Akcja zimowa.

W okresie ferii zimowych zostaną zorganizowane następujące kursy dla instruktorów i uczestników z terenu całej Polski: 1) 10-dniowy k u r s i n s t r u k t o r s k i w S t a n i c y w Hołówkowie st. kol. Wygoda k. Lidy od dnia 28 grudnia do 6 stycznia włącznie, cel kursu: przeszkolenie kandydatów na instruktorów i młodszych instruktorów w zakresie pracy samokształceniowej, świetlicowej oraz strzelectwa, uzyskanie przez nich tytułu i praw sędziów i instruktorów strzelectwa. Kurs jest przewidziany na 40 uczestników. 2) K u r s O k r ę g u L w o w s k i e g o w S k o l e m dla uczestników (kierowników zespołów i ich zastępców) w terminie od dnia 27 grudnia do 5 stycznia włącznie. W programie kursu będzie uwzględnione: metody pracy w zespole zarówno samokształceniowej jak i realizacyjnej, współpracy ze wsią, strzelectwo jako sport młodzieży szkolnej, strzelanie i narciarstwo. 3) K u r s O k r ę g u L u b e l s k i e g o w L u b l i n i e w dn. 3 — 7 stycznia. W programie kursu prace w pracowni zajęć praktycznych nad wykonanem pomocy naukowych dla szkół powszechnych (roboty z drzewa, tektury, słomy, szczotkarstwo itp.), zajęcia świetlicowe z uwzględnieniem pracy w świetlicach szkół powszechnych, zagadnień ideologicznych i organizacyjnych S. P. Kurs jest przewidziany dla 30 uczestników. 4) K u r s O k r ę g u Ł ó d z k i e g o w D r u i, dla 20 uczestników z terenu Okręgu Łódzkiego w czasie od 28 grudnia do 7 stycznia. W programie: przeszkolenie strzeleckie oraz zawody o O. S., przeszkolenie w zakresie w. f. ze szczególnym uwzględnieniem narciarstwa, wędrówka narciarska po Brasławszczyźnie celem uzupełnienia bibljotek wiejskich i organizacji ognisk w świetlicach młodzieży wiejskiej pogranicza. 5) 5-dniowy k u r s O k r ę g u W i l e ń s k i e g o w H o ł ó w k o w i e st. kol. Wygoda dla 20 uczestników z terenu Okręgu Wileńskiego w czasie od 2 stycznia do 7 stycznia włącznie. W programie kursu: przeszkolenie strzeleckie i zawody o O. S., praca samokształceniowa (zagadnienia gospodarcze Polski współczesnej, Nowogródczyzna) zagadnienia ideologiczne i wewnętrzno-organizacyjne, narciarstwo. 6) O b ó z w ę d r o w n y z a g r a n i c z n y w R u m u n i i. Wędrówka odbędzie się w Alpach, punkt wymarszu Predeal. W kursie weźmie udział 10 uczestników według następujących rozdzielników: Wilno — 1, Lwów — 3, Kraków — 3, Śląsk — 2, Warszawa — 2. W programie przewiduje się 15 klm. bieg narciarski, 8-dniowy przemarsz Alpami Transylwańskimi, wygłaszanie w jęz. francuskim pogadanek o narciarstwie polskim. Ponadto goście rumuńscy wezmą udział w obozach w Hołówkowie instr. 10, w Lublinie 5, w Drui — 3.

Sprostowanie.

W Nr. 2/3 „W Młodych Oczach" do kroniki organizacyjnych wkradły się następujące błędy, które niniejszym prostujemy: Ob. Franciszek Guściora został mianowany Instruktorem Okręgowym Okręgu Brzeskiego nie zaś Lubelskiego, Kierownikiem Obwodu Białostockiego został ob. Stefan Wrzesiński.

Odznaka organizacyjna.

Na początku stycznia będzie w G. W. W. do nabycia odznaka organizacyjna. Regulamin odznaki ukaże się w Biuletynie.

Sprawozdania z obozów.

W końcu grudnia ukażą się szczegółowe sprawozdania z obozów letnich Straży Przedniej w lecie 1937 r.

Okręg Łódzki.

Dnia 30.X.. o godz. 17-tej Polskie Radio nadało z Łodzi na całą Polskę pogadankę sekretarza Rady Okręgowej p. Mersona na temat: „Nad polską Dźwiną" o obozach Straży Przedniej.

Odpowiedzi redakcji

Kol. St. Trawkowski. Łódź.

Chętnie zamieścilibyśmy Wasz artykuł niestety poruszone w nim problemy są zbyt głębokie, by nadawały się do ujęcia w takich skrótach, w jakich kolega je ujął. Publicystyka nie polega tylko na podkreślaniu aktualnych zagadnień w stylu „telegraficznym", ale na ich gruntownym oświetleniu, które warunkuje zainteresowanie się czytelnika artykułem, a tym samym stwarza możliwości rezonansu dyskusyjnego, o który chyba głównie autorowi chodziło. Ponieważ zbyt sobie cenimy Waszą współpracę, by przeprowadziać samowolną korektę treściową, w celach poszerzenia artykułu, prosimy o łaskawe nadesłanie do następnego numeru artykułu na ten temat, ale już naprawdę — artykułu. Wtedy chyba wydrukujemy.

kol. Z. Truszkiewicz. Kraków.

Postanowiliśmy zamieścić Wasz artykuł o spółdzielczości z terenu szkolnego — w nast. numerze. Wasz pogląd jest wprawdzie tylko wiernym odbiciem poglądów panujących wśród starszych działaczy spółdzielczych, poglądów, które, ośmielamy się wyznać redakcji „W Młodych Oczach" nie trafiają do przekonania, ale będziemy drukować, — wespół z głosem „od redakcji". Za obfity materiał serdecznie dziękujemy, życząc owocnej pracy na krakowskim terenie.

kol. Z. Machnikowski. Radom.

Drogi kolego! Bądźcie łaskawi zrozumieć, że poezja nie polega tylko na rymowaniu: „dzień" i „cień", „wieść" i „treść". Kier. Waszego zespołu pisze nam, że utwór ma nosić charakter pesymistyczny. I tego nie mogliśmy się dopatrzyć.

Radzimy jeszcze czytać. .

kol. M. Plucińska. Kraków.

Artykułu „Dwa pokolenia" nie możemy wydrukować, ponieważ nie stawia odwiecznego problemu walki starych i młodych w nowej aktualnej płaszczyźnie, ba, nawet nie zdobywa się na odwagę wysunięcia zagadnienia „walki", zadawalając się stwierdzeniem faktu, że młodzi i starzy się nie rozumieją, i że — winni się rozumieć, ażeby sobie wybaczyć. Jeżeli mamy wnosić nowe wartości w życiu, musimy się zdobyć na trud samookreślenia swych celów i dróg, musimy stworzyć nowe kryteria oceny dla otaczającej nas rzeczywistości. Proponujemy, po gruntownym przemyśleniu, napisać nowy artykuł na ten temat. Napisać młodziej, szczerzej i — konkretniej. Wtedy z chęcią zamieścimy. Prosimy o dalszą współpracę.

kol. T. Mysłowicka. Kraków.

Dobry artykuł informacyjny o samorządzie szkolnym, nie wnosi jednak nic nowego, wobec czego w n-rze nie „idzie". Chwalimy poprawność stylu i jasny układ. Ale potrzeba nam bardzo innego artykułu na ten temat. O nowym samorządzie. Bo o starych napisano już wszystko, wszystko wiemy, jak i co robić i — nic, a przynajmniej prawie nic najczęściej nie robimy. I jeszcze jedno — samorząd to nie konferencje prezesów organizacyj szkolnych!!

kol. Rita Jasieńska.

Otrzymaliśmy zbyt późno. Nadawał się do poprzedniego numeru. Ze względu na oryginalność stylu puścimy może w majowym numerze. Prosimy o materiał.

kol. Kędziorzanka w Krakowie.

Vide odpowiedź kol. Machnikowskiemu.

kol. Zygmunt Krasiński. Grudziądz.

Za suche. Sprawia wrażenie klasówki na trzy plus. A to jak na „młode oczy" za mało. Radzimy pracować nad stylem i od szasu do czasu coś nadsyłać. Chętnie służymy radą. Chcąc pisać o technice trzeba coś nie coś przeczytać z wydawnictw popularnonaukowych Mathesis Polskiej. Z encyklopedii polecamy Ultima Thule, jeżeli znajdziecie w biblitece, lub Arcta.

kol. Z. Eliks.

Z przykrością, nie — raczej z zadowoleniem musimy stwierdzić, że epoka rozpraw teoretycznych na temat wartości pracy już minęła i wszyscy sobie zdajemy sprawę, że jedna paczka książek wysłana szkole kresowej, jest więcej warta, niż dziesięć artykułów z „historyczno-geograficznego "punktu widzenia, uzasadniających wartość pracy, notabene dość abstrakcyjnie przez Was pojmowanej. Po drugie, Wasz projekt stworzenia jeszcze jednej organizacji, czy też wprowadzenia jednego dla wszystkich organizacji regulaminu (niezbyt jasno jest to powiedziane) jest o tyle nietykalny, że, jak słusznie piszecie, nie wszyscy już dorośli do masowej pracy obywatelskiej i narazie każda organizacja młodzieżowa przeprowadza z duchem czasu reformy we własnym zakresie. Bijący z Waszego artykułu pesymizm nie na każdym odcinku życia społecznego młodzieży znalazłby uzasadnienie.

WYDAWCA IMIENIEM STRAŻY PRZEDNIEJ: BOLESŁAW WASYLEWSKI

REDAGUJE KOMITET SEKRETARZ REDAKCJI: CZESŁAW DOMARADZKI

Zakł. Graf.-Introl. J. Dziewulski, Warszawa, Senatorska 10.

Z półki księgarskiej

Józef Beck — Przemówienia, deklaracje, wywiady, 1931-37, nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa — MCMXXVIII, s. 328 + XII.

Niedawno ułożona na witrynach księgarskich książka Ministra Spraw Zagranicznych Józefa Becka wzbudziła niezwykłe zainteresowanie w kołach politycznych i wywołała duży rezonans zagranicą, że wspomnimy tylko recenzję Wiener Journallu, Petit Parisienne i czteroszpaltową recenzję, a właściwie artykuł o duchu polskiej dyplomacji, zamieszczony na łamach Times'a.

Mowy Min. Becka pozwalają na retroperspektywne wglądnięcie w rozwój polityki zagranicznej Polski lat ostatnich i są ważnym przyczynkiem do dziejów naszej dyplomacji. Sześć lat na takim posterunku, to ogromny kawał czasu; sześć lat pracy na terenie Ligi Narodów, pracy, która często spotykała się z zarzutami niektórych odłamów społeczeństwa, a będącej wierną kontynuacją polityki Wielkiego Marszałka, te lata to w najnowszej naszej historii pozycja bardzo poważna. Dały one możność stworzenia w naszej polityce ciągłej linii. Czytelnik interesujący się rozwojem stosunków międzynarodowych znajdzie w tej książce żywą kronikę najważniejszych wypadków na arenie politycznej w latach ostatnich. Historyk Polski współczesnej znajdzie tu nieprzebraną kopalnię informacji o sposobie i formach nawiązywania kontaktów międzypaństwowych.

Wszystkie ekspose budżetowe Ministra, to wykwit kunsztu krasomówczego, w których umiejętnie zostały wydobyte na światło dzienne sukcesy naszej dyplomacji. Retoryka dyplomacji jest sztuką aptekarskiego ważenia słów, przemilczania i mówienia tylko rzeczy, w danym miejscu i danym czasie potrzebnych i właściwych. Książka min. J. Becka posiada wartość specjalną, nie może więc być oceniana przez laików, musi być rozważana tylko pod kątem rezultatów Jego polityki.

Tego rodzaju postawienie sprawy stworzy napewno dla tego pokaźnego tomu atmosferę zgodną z jego celem: zainteresuje rozwojem polityki zagranicznej Polski współczesnej itd.

ARKADY FIEDLER — „KANADA PACHNĄCA ŻYWICĄ". wyd. II., „Rój", Warszawa, 1937, str. 274.

Z właściwym sobie talentem odczuwania i rozumienia puszczy i puszczańskich ludzi, przedstawie nam Fiedler — puszczę Kanady. Sporo w tej książce jest wspominków historycznych sięgających w romantyczne dzieje ginących szczepów indiańskich, kolonizacji francuskiej i angielskiej. Do najbardziej interesujących rozdziałów należą te, w których autor usiłuje naszkicować psychikę białych osadników i działanie na nią tajemniczych czarów puszczy. Tytuły niektórych rozdziałów mówią za siebie: — Historia trzydziestu lat wojny z wróblem... Biały myśliwy i puszcz (Strzelaj tyl...) Hudsons Bay Company. Między puszczą i Bogiem... Wolter zapomniał... Kanada pachnąca benzyną... Przepraszam za frazes, ale autor przenosi nas naprawdę „w zaczarowany świat borów kanadyjskich".

TEATR

TEATR POLSKI — „GAŁĄZKA ROZMARYNU" — Z. NOWAKOWSKIEGO.
WIDOWISKO W 5 OBRAZACH.

Wypadałoby zacząć tę recenzję od sakramentalnego, że od dawna... że społeczeństwo oczekiwało...

Zeszłoroczne wystawienie sztuki Nowakowskiego w Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie odbiło się w Warszawie słabym echem, tak, że trudno iść na tę sztukę z jakimś specjalnym nastawieniem. Większość publiczności pragnęła ujrzeć kilka fragmentów z życia legionowego i nic więcej, niektórzy dziennikarze z góry ściągali sztukę do miary propagandówki, jeszcze inni chcieli w niej widzieć sceniczną epopeję.

Autor utrafił w gust powszechny. Nie chciał napisać ani dramatu, ani komedii w zwykłej ich postaci scenicznej, osnutych na życiu legionowym, dlatego, bo życie to było splotem zjawisk tak krańcowych jak bohaterska brawura i beztroskie „galgenhumorystyczne" traktowanie codziennych, błahych w zrozumieniu legunów spraw, jak c.k. władze, szarże, odznaczenia itp.

Autor obeznany wszechstronnie ze sceną zrozumiał, że istotnym czynnikiem **widowiska** — gdyż taki właśnie charakter nosi sztuka — jest **element ruchu**, potraktowany przez reżysera z wielkim nakładem pracy. Musimy przyznać, że ten element został wyzyskany wszechstronnie. Stworzyło to nastrój gorączkowego podniecenia (obraz I), przedwymarszowego zapału. W widowisku gra cały zespół, a nie poszczególni aktorzy; na tle dobrze zarysowują się mniej lub bardziej wyraźnie charakterystyczne postacie, typy legunów, wyróżniające się z pośród innych raczej **ujęciem** scenicznym niż jakąś skomplikowaną charakterologią.

Sto kawałów legionowych zaprawionych sentymentalną łezką znajduje na widowni resonans w postaci huraganowych wybuchów śmiechu. Widz wżywa się powoli w rytm życia plutonu, który na scenie ma stanowić to, co pierwsza brygada w dniach walki — platformę reprezentacyjną, zaczym przyszłej polskiej armii. Najświetniejszy jest obraz trzeci, w którym autor przedstawił biedę i braterstwo leguńskie, wiążące garstkę żołnierzy kwaterujących w wiatraku. Szereg perypetyj kondygacyjnych wyzyskanych umiejętnie (bez pomocniczych schodków Pronaszki) wprowadza element najprzedniejszego humoru do tej najgłębszej w swym sensie sceny, bo wyjaśniającej prawdę o duszy leguna. Zabójca kolegi (w cywilu) Beton, spowiadający się w przeczuciu śmierci, którą znajdzie w wigilijny wieczór i góral Juhas płonący miłością do uroczej sanitariuszki Sławy, nieborak Iskra spisujący dzieje plutonu, wszyscy oddychają prawdziwą atmosferą lat kampanii legionowej. Mimo, że pozornie kpią sobie ze śmierci, w jej oczekiwaniu, w jakiejś mistycznej chwili, odczuwają potrzebę braterskiej spowiedzi.

Doskonałe pod względem napięcia dramatycznego, ale mniej zwarte w akcji dwa ostatnie akty, dają, (co bynajmniej nie leżało w zamiarze autora) odczuć brak głębszego cementu, spajającego ludzi plutonu. Autor ukazując pośrednio za sceną w ostatnim obrazie postać Komendanta, uważał, że winno to widzowi wystarczyć. Co łączyło legunów z Piłsudskim? Powiedzenie: „On sam wie" — nie daje odpowiedzi na to pytanie.

I tu właśnie należy szukać źródeł „ideowych" zastrzeżeń czynionych przez recenzentów tej sztuce.

Nowakowski nie wykorzystał najpoważniejszego atutu.

I jeszcze jeden lapsus, zbyt poważny, by go przemilczeć. Nikt z młodzieży nie zrozumie chyba, dlaczego sympatyczny Juhas, by stać się godnym ręki Sławy, musiał się wykazać dyplomem lekarskim. Mógł z prostego górala awansować w okopach na porucznika, mógł i poślubić swą „dyplomowaną" towarzyszkę kampanii. Czy w oczach autora byłby to niedopuszczalny mezalians?

Cz. Domaradzki

Sprostowanie. *Chochlik drukarski (t. zn. niedbalstwo redakcji) sprawił, że w Nr. 2 — 3 z dnia 15 listopada b. r. pomylono napisy pod zdjęciami z obozów. I tak, pod zdjęciem na str. 19 zatytułowanym „...wolno podprowadza muszkę pod punkt" zamiast „Jaworze" winno być „Kartuzy", pod zdjęciami na str. 26 podpisanym „In hoc signo" zamiast „Jaworze" winno być „Kartuzy", pod zdjęciami na str. 30 zatytułowanymi „Wielkie pranie" i „Wesele krakowskie" zamiast „Stanica" winno być Kiedrowice.*

W MŁODYCH OCZACH

CZASOPISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Wyd. przez Organizację Pracy Obywatelskiej Młodzieży

STRAŻ PRZEDNIA



WARUNKI PRENUMERATY

PRENUMERATA ROCZNA ZŁ 3.00

PRENUMERATA PÓŁROCZNA ZŁ 1.50

Cena pojedyńczego numeru 30 gr

NALEŻNOŚĆ WPŁACAĆ PRZEKAZEM ROZRACHUNKOWYM NA Nr. 275

z zaznaczeniem na odwrocie: pren. „W MŁODYCH OCZACH"

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI

WARSZAWA, ŚWIĘTOKRZYSKA 30, M. 8

Zakł. Graf.-Introl. J. DZIEWULSKI, Warszawa, Senatorska 10